



Kryminał z myszką

6

MIŁOŚĆ SZEJKA

Detektyw
Rafał
Królik
na
tropie

Antoni
Marczyński

Antoni Marczyński

MIŁOŚĆ SZEJKA

DETEKTYW RAFAŁ KRÓLIK NA TROPIE

Kryminał z myszką – Tom 6

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-69-4

Copyright © Leopold René Nowak

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

ROZDZIAŁ I

Ali Abaza zdrętwiał z przerażenia i rozpląszczył się na ziemi, gdyż gdzieś w pobliżu zakaszał ktoś grubym głosem.

– Zginąłem! – pomyślał chłopak. O ucieczce nie mógł marzyć. Przed sobą miał staw, po obydwóch bokach zbity gąszcz mirtów, a z tyłu zbliżał się ktoś, pełznąc tą samą wąziutką ścieżyną, która jego skusiła. Instynktownie odwrócił głowę i zdumienie zajęło miejsce przestachu. – Otman?!

– A ty, co tu robisz, zuchwały szczeniaku?! – zasyczał przybyły.

Ale mu nie przyszło do głowy, że to samo pytanie on miałby równe prawo zadać tamtemu; przecież ten ogród należał do szejka Ibrahima el Ghazi!

– Łotrze! Przyszedłeś podglądać kąpiące się niewiasty! – perorował Otman stłumionym głosem. – Którą chciałeś widzieć?! – warknął, gniotąc ramię chłopca w stalowym uścisku.

– Mów, którą, lub zginiesz!

– Ya... Ya... Yaminę – wyjąkał Ali, a Otman odsapnął z ulgą.

– Twoje szczęście, że nie Zorę – mruknął i porozumiewawczo poklepał przygodnego towarzysza, gdyż od strony pomarańczowego gaiku dobiegły ich nagle echa beztróskiego śmiechu nadchodzących...

W haremowych ogrodach wolno im było twarze obnażać, ale tylko najmłodsze to czyniły. Stara Khadżidża wołała się pocić w obcisłej zasłonie, zwanej azarem, niż odkryć oblicze pomarszczone jak suszona śliwka. Za to rudowłosa Safija roznegliżowała się szybko aż do miękkich pantofli marokańskich włącznie i tanecznym krokiem ruszyła w stronę sadzawki, zachęcając Meriem, by zrobiła to samo. Wywołało to ogólną wesołość, gdyż Meriem nie kąpała się nigdy. Dla zasady. Była przecież rodowitą Tuareżką.

– Idź, idź, brudasie – chichotała Zora, zdejmując z siebie aż 3 narzutki, zwane haikami.

– Ja brudas?! – Niesłuszny zarzut wzburzył dumną córę Hoggaru. – Moja skóra jest dużo bielsza niż twoja!

– Czym skóra bielsza, tym dusza czarniejsza – wtrąciła skwapliwie rozbierająca się Yamina, w której żyłach płynęło sporo krwi murzyńskiej.

– Jeśli to prawda, to ja mam duszę jak skrzydło kruk – parsknęła Safija. Była dzieckiem miłości „nieznanego żołnierza” z Legii Cudzoziemskiej i po nim odziedziczyła skórę białą jak mleko, tak częstą u rudowłosych.

Mówiąc to, równocześnie skinęła na Ajszę i Zinę, po czym razem pochwyciły znienacka Meriem i wrzuciły ją do sadzawki wśród wesołych śmiechów.

Ale Meriem nie знаła się na żartach. Rozwścieczona przymusową kąpielą, pochwyciła sporą gałąź akacjową, leżącą na ścieżce i runęła do ataku jak samum, gorący wichur pustynny. Tamte trzy nie czekały oczywiście. Rzuciły się do ucieczki, piszcząc z udanego przestachu. Aby pokazać tej „dzikusce”, jak mało sobie robią z jej pościgu, podały sobie ręce i tak mknęły dalej, zwinne, lekkie, smukłe jak palmy.

– Żeby się wam dzieci nieżywe rodziły! – wrzasnęła zawzięta Meriem, widząc, że nieprędko dopędzi swoje „krzywdzicielki”, którym ani strzęp odzieży nie utrudniał ruchów, podczas gdy ona musiała dźwigać powłóczyste haiki, koszule, pantalone, wszystko lepkie i ciężkie, bo nasiąknięte wodą. Ale biegła dalej, ściskając w dłoni swą kolczastą maczugę...

– Rozdzielmy się teraz – rzekła Ajsza, kiedy zaczęły się zbliżać do maleńkiego pałacyku stanowiącego zakończenie głównej alei. Prócz owej alei uchodziły tu dwie ścieżki, na pół zarośnięte, a ciągnące się wzdłuż muru, który cały ten ogród okalał. – Ja skrucę w lewo.

– Ja w prawo – odparła Safija. – A ty? – zwróciła się do Ziny i dorzuciła z przekąsem: – Ty oczywiście także w lewo!

Tak się też stało, a uparta Meriem pomknęła za parą nierozłącznych przyjaciółek. Safija mogła odetchnąć po długim biegu, niezwykle męczącym przy takiej spiekocie. Zwolniła kroku także i dlatego, by bosą nogą nie nadepnąć na skorpiona lub żmiję; w tej stronie ogrodu roiło się podobno od tego paskudztwa. Stąpała więc ostrożnie, nie odrywając wzroku od ziemi i wybierając wśród zielonego strumyka mchów coraz rzadsze kępy piasku.

Przyjemny chłód panował w tym naturalnym tunelu barwy jaspisów, lecz cień i cisza zrodziły lęk, który najchętniej uwieszą się u ramienia samotnych. Gdyby nie obawa przed ciemną gałęzią nieobliczalnej Tuareżki, Safija byłaby zawróciła na pewno.

– Zora pociesza się z Otmanem, Zina ma Ajszę, Yamina i Fatma także muszą mieć kogoś, o, na pewno! Tylko ja zawsze sama – myślała Safija z goryczą. – I właśnie mnie podejrzewa ta nadęta Khadżidża. Powiedziała kiedyś, że chodzę na schadzki do baszty. Głupia baba! Ja bym tam w biały dzień nie poszła za żadne skarby. Co dopiero nocą!

Wzdrygnęła się i przystanęła, przypomniawszy sobie, że idąc tędy, zbliża się do ruin baszty, ciesząc się jak najgorszą sławą...

– Allah! – wymamrotała zdrtwiałymi wargami, bo nagle trzasnęła złamana gałązka i niemal równocześnie zachybotał czub młodej tui zasłaniającej dalszy ciąg ścieżki. – To dżin! Pomyślałam o nim w złą godzinę! Idzie po mnie! – łopotało w mózgu zabobonnej kobiety, którą strach obezwładnił w jednej chwili. Była pewna, że to duch nadchodzi, czyli dżin...

Znowu dwa drzewka zakołysały się podejrzanie i spomiędzy nich wysunął się na ścieżkę prawdziwy olbrzym. Turban na głowie i powłóczysty, ciemnoszafirowy burnus jeszcze wydłużyły jego rosłą sylwetkę, a niesamowitość tej zjawy zwiększała zasłona, zakrywając całą twarz, prócz szparki na oczach.

Jeśli Safija skamieniała z przerażenia, to tajemniczy wielkolud był co najmniej zaskoczony tym spotkaniem. Ślizgał zdumionym spojrzeniem po kształtnych nogach niewieścich, nieoszczędzonych arabskimi pantoflami, i wyżej również, a proporcjonalnie do tej wędrówki wzroku wzrastał jego zachwyt.

– Na włos proroka! – mruknął „duch” wreszcie. – Tak białej skóry jeszcze w życiu nie widziałem!

Ten pomruk wyrwał Safiję z odrętwienia. Błyskawicznie zawróciła na pięcie i rzuciła się do ucieczki...

Lecz zanim ubiegła dziesięć kroków, pochwyciły ją stalowe szpony i jakaś płachta zakryła jej usta otwarte szeroko, by wydać okrzyk, który skończył w krtani, zabity śmiertelnym przestrawieniem. Potem „duch” podniósł ją z ziemi jak piórko i pomknął z nią w stronę ruin starej baszty...

ROZDZIAŁ II

Ajsza i Zina zaszyły się gdzieś w zaroślach, a Meriem po długich daremnych poszukiwaniach postanowiła najpierw rozprawić się z Safiją.

– Z tą czulą parką pogadam wieczorem – ślubowała sobie, rozważając, czy tamte dwie uraczyć podczas snu glistami, które mroki nocy wyolbrzymią do rozmiarów węży, czy poprzestać na jaszczurkach.

Każda inna dziewczyna byłaby już dawno ochłonęła z gniewu i przebaczyła wesołym towarzyszkom tę niewinną psotę. Każda, tylko nie Meriem, zawzięta i mściwa jak jej bracia – jedyny szczerp Tuaregów, jeszcze nie ujarzmiony przez „niewiernych”. Meriem była tu zakładniczką, żywą gwarancją, że jej wojowniczy rodzic nie napadnie znów na oazy szejka Ibrahima el Ghazi, wiernego sługi Francji. Meriem tęskniła do swoich i każdego Araba uważała za współsprawcę jej niewoli, za wroga. Nawet Khadżidżę, która opiekowała się nią z

macierzyńską czułością... dawniej, zanim Meriem oświadczyła wszem wobec, że woli zginąć w mękach, niż poślubić Araba.

A Khadżidża właśnie z niej chciała sobie „ulepić” synową i roiła błogie sny o przyszłej zgodzie sąsiedzkiej z groźnym Tuaregiem, który nie napadałby już chyba na dobytek swego zięcia. Bo Hussein, syn szejka Ibrahima i Khadżidży, był oficjalnym następcą tronu w tym małym państewku liczącym 310 000 daktylowych palm, rozrzuconych po sześciu oazach, a ponadto 7000 owiec, 265 wielbłądów i 945 darmożjadów, czyli wiernych poddanych (żon szejkowych nie licząc).

– Nienawidzę tego Husseina! – warknęła Meriem, której akurat przyszedł na myśl dynastyczne kombinacje Khadżidży. – Kocham tylko mojego Ammi! Tylko jego!

Nie opodał miejsca spotkania Safiji z „duchem”, Meriem spostrzegła na ziemi ogromny rewolwer, zgubiony przez tegoż „dżina”. Podniosła go, zaczęła oglądać na wszystkie strony i niemal w tej samej chwili posłyszała podejrzane szelesty.

Meriem zamieniła się cała w słuch. Potem odsunęła kurek staroświeckiej „kolubryny” i z palcem na cynglu czekała spokojnie. Jej wyostrzone zmysły ostrzegły ją, że to rosły mężczyzna zbliża się w tę stronę, a nie kobieta, więc nie Safija. Mężczyzna w haremowym ogrodzie szejka?! No, z takim zuchwalcem można się załatwić bez ceremonii!...

Rzekomy duch zgłupiał doszczętnie, gdy niemal w tym samym miejscu ujrzał ponownie kobietę... Ta druga była co prawda ubrana, ale wyglądała jak topielica. Niewiele brakowało, a byłby ją wziął za ducha i drapnął czym prędzej. On, który pół godziny temu osobiście reprezentował groźny świat duchów. On musiał teraz (jako, że nie wypadało uciekać) odmawiać niezawodne zaklęcia przeciwko zaczepkom złych „duchów”. I stać oko w oko z mokrym czupiradłem, które nagle odrzuciło rewolwer i puściło się w tę stronę, wołając w jego ojczywym narzeczu: – Bracie! Bracie! Ja także jestem Tuareżką! Czy przybywasz po mnie?

– Meriem! – krzyknął zdumiony bezbrzeżnie. – To ty?!

Poznała rodaka po ubiorze, ale na dźwięk tego głosu stanęła jak wryta. Nie wierzyła uszom, dopiero gdy zdarł sobie zasłonę z twarzy, pomknęła jak strzała w jego objęcia.

– Mój Ammi! – W tym okrzyku zawarła wszystko!

Odgarnął jej z czoła mokre włosy, przytulił narzeczoną, lecz jakoś inaczej niż dwa lata temu. I milczał. Może porównywał w myśli dzisiejszą „topielicę” ze swoją dawną Meriem. A może z kim innym? Potem zarumienił się jakby schwytany na gorącym uczynku, kiedy Meriem odsunęła go nagle. Potem odetchnął z ulgą, gdyż jej słowa brzmiały tylko: – Allah! Jakże byliśmy nieostrożni! Żeby tak głośno rozmawiać!

– Ogród jest wielki – odparł szeptem – głosy tu nie dochodzą, więc i naszej rozmowy nikt nie słyszał.

Skinęła głową, ale rozglądała się na wszystkie strony.

– A jednak Safija szła tędy – mruknęła do siebie – jej ślad nie zawrócił... badałam... Tyś jej nie spotkał?

– Taka ruda? Ależ tak! Prawie wpadła na mnie.

– Zabiłeś? – spytała z taką obojętnością, jakby rozmawiali o wczorajszej pogodzie.

– Nnie... Po co? Odniosłem ją do baszty, związałem, usta jej zatkałem, by nie krzyczała... Ale co z nią począć?

– Zabij!

– Bezbronną kobietę?! Ja?!

– To Arabka! Jej synowie będą kiedyś mordowali naszych braci. Tuaregów! – Na wyrazistej twarzyczce Meriem odmalowało się nagle tak wielkie zgorszenie, że zatarło zupełnie ślad mściwej zawziętości. – Na proroka! – krzyknęła, zapominając o wszelkiej ostrożności. – Ależ ona była zupełnie naga, ta bezwstydnica!!!

– Nawet nie zauważyłem – bąknął Ammi ben Uahaba, co prędzej schylił się po swój odnaleziony rewolwer, byle tylko uniknąć spotkania z przenikliwym wzrokiem narzeczonej.

– Nie zauważyłeś?! I ja mam w to wierzyć?!

– Nie wierz, jeśli nie chcesz – odparł popędliwie, lecz natychmiast ujął dłonie dziewczyny w uścisk serdeczny. – Meriem! Są ważniejsze sprawy. Zbliża się kres twej niedoli!

– To samo mówiłeś dwa lata temu. To samo ojciec mi obiecywał przez usta wiernego Affana...

– Który – olbrzym zgrzytnął zębami – ledwie się dowlókł do nas z arabską kulą w nodze... Zapłaci on mi za to dzisiejszej nocy!

– Dzisiaj?! – Chude palce wpiła w jego dłoń szeroką jak łopata. – To się stanie dzisiaj!?

– Ale błysk radości zgasł na jej twarzy szybciej, niż zakwitł tam przed chwilą. – Nie! Nie! Musisz wstrzymać naszych, opóźnić chwilę mego uwolnienia, choćby o kilka dni – szeptała z gorączkowym pośpiechem. – Czyż nie wiecie, że dzisiaj tutaj...

– Wiemy – przerwał jej. – Wiemy. Stary Ibrahim poślubi dziś białą dziewczynę, którą sobie przywiózł z Casablanki. O, my wszystko wiemy! – przechwalał się. – I nie przeraża nas to, że tylu wrogów tu się zgromadziło. Czym ich więcej, tym większe będzie zamieszanie...

Zapewnił ją, że wszystko jest już przemyślane przez doświadczonych wojowników i przygotowane drobiazgowo. On sam przybył tutaj po to, by ją, Meriem, uprzedzić o miłej niespodziance i by przez podpalenie wioski dać swoim sygnał do natarcia. Oni zaś, Tuaregowie, już są w pobliżu, przyczaili się w wąwozie za drugim pasmem piaskowych wydym... I w ogóle niechaj się Meriem o nic nie trapi; on już pomyślał o wszystkim!

– O rudej także?

Trochę go zaskoczyło to pytanie, ale wybrnął. Rudowłosa musi pozostać w baszcie aż do chwili napadu na oazę, inaczej mogłaby zepsuć całą robotę. A Meriem niech się postara rozproszyc obawy haremu szejka na wypadek, gdyby przedłużającą się nieobecność Safiji ktoś zauważył. I niech przybiegnie w stronę ogrodu, kiedy padną pierwsze strzały walczących...

Słuchała uważnie, potem skinęła głową na znak zgody i zaczęła się żegnać. Rozstali się z fatalistycznym „Inch Allah” na ustach: „Jeżeli Bóg pozwoli”. Innymi słowy: „Stanie się to tylko, co Bóg komu przeznaczył”.

Więc Ammi ben Uahaba przypomniał sobie od razu, że Allah przeznaczył mu kilka godzin miłego sam na sam z piękną płomiennowłosą Safiją. Popędził co tchu do starej baszty, szepcząc z nabożną rezygnacją:

– Inch Allah! Czuję, że mi przeznaczono przywieźć do swego domu dwie żony od razu. Jedną mądrą, drugą piękną. Jeśli Allah pozwoli, że szejek zginie. A musi zginąć! Inch Allah...

ROZDZIAŁ III

Safija oswoiła się już z obecnością „ducha”, a nawet chwaliła sobie w myśli jego towarzystwo. Ten młody wielkolud w ciągu kilku godzin ich sam na sam w starej baszcie dokazał więcej, niż przeżyła w ciągu pierwszych dni swego małżeństwa ze starym szejkiem.

– Ibrahim jest niedołągą, jak teraz widzę – monologowała w duszy, nie mogąc się nadziwić temu, że ten dziadyga postanowił zaokrąglić zastęp swoich małżonek do ósemki. – Miał nas siedem: Khadżidża, Fatma, Yamina, Zora, Zina, ja i Ajsza – liczyła według starszeństwa. Po jednej na każdy dzień tygodnia. Jeszcze mu się ósmej zachciało! A potem przyjdzie kolej na Meriem, z którą Khadżidża wolałaby syna wyswatać niż męża. A potem znów Lella dorośnie i...

Rudowłosa odrzuciła tę hipotezę po namyśle. Skończy się chyba na ośmiu. Nie należy zapominać, że tą ósmą będzie biała kobieta, a rumija, czyli „niewierna” potrafi z pewnością okiełznać zaborczego męża. U rumich podobno wolno mieć tylko jedną żonę.

Tu lekki niepokój ogarnął Safiję. Bo jeśli chytra dziewczyna zdoła męża opętać, jeżeli go skłoni do przyjęcia europejskich zwyczajów, to szejek rozpędzi swój harem na cztery wiatry. I co wówczas będzie z nią, z Safiją? Jest piękna, z łatwością znajdzie sobie drugiego męża, ale już nie szejka, nie bogacza. I znowu trzeba będzie pracować, nosić drwa i ciężkie dzbany z wodą, zamiatać, prać, szorować, kopać pod warzywa ziemię, twardą jak skała, słowem – orać od świtu do nocy, jak w domu rodzicielskim bywało.

– Och, niechaj mnie raczej ten „duch” z sobą zabierze! – westchnęła, rozumując słusznie, że duchy nie potrzebują mieć żadnej styczności z tym, czego każdy Arab boi się jak morowej zarazy. Z pracą! – O, zabierz mnie z sobą, zabierz – modliła się żarliwie.

A „duch” spał w najlepsze, widać zmorzyły go przyjemne procedury w baszcie. Spał tuż obok. Jego szeroka pierś poruszała się w równym oddechu, jego olbrzymia dłoń trzymała „dla pewności” pulchawe ramię Safiji.

– Sądził, że ucieknę – domyśliła się rudowłosa – tymczasem to ja drzę z trwogi, by nie odszedł beze mnie. By mnie nie pozostawił „niewiernej” na poniewierkę.

Safiję ogarniała już mania prześladowcza na punkcie „niewiernej”, której rządy mogły się rozpocząć od jutra. Wszakże dzisiaj odbywała się uroczystość weselna, a jej echa dobiegały aż tutaj. Rudowłosa, orientując się doskonale w rodzinnych obrzędach, poznała po jakimś charakterystycznym okrzyku mężczyzn, że religijna część ślubnej ceremonii ukończyła się właśnie.

– Ona już jest szejkową żoną – wymamrotała posępnie.

Po jakimś czasie pogodziła się z tą myślą. Trudno. Stało się. Widocznie tak było zapisane w księdze przeznaczeń. Nie mając natomiast żadnej pewności, czy w tejsz księdze jest zapisane, aby dziarski duch w bezczynności gnuśniał, zaczęła się przysuwać do niego. Umyśliła sobie, że go poprosi o rozwiązanie jej rąk, które boleśnie ścierpły, należało bądź co bądź jakoś wytłumaczyć to zuchwałe przerwanie zasłużonego wypoczynku dżinowi.

– Co? Gdzie jestem? Kto tu? – zabelkotał Ammi ben Uahaba, wyrwany z głębokiego snu. Ale wnet oprzytomniał i przede wszystkim stwierdził dotykem, czy piękny więzień nie obłuźnił sobie więzów...

– Plecy mnie tak bolą od leżenia na kamieniach – zaczęła nieśmiało.

– Możesz mówić?! Wyplućś knebel?! – przeraził się.

– Spałeś, o panie, tak twardo. Mogłam się wyczołgać z baszty, mogłam ci uciec i swoich przywołać krzykiem. Mogłam!

– Czemu nie uczyniłaś tego?

– Po co? Czy mi tu źle z tobą, panie?

Rozczuliła go ta odpowiedź. Rozwiązał swej brance pęta, usprawiedliwiając się już teraz, że później będzie jej musiał ponownie nałożyć więzy. Nie na długo. Na parę godzin najwyżej. Potem wróci tu po nią (i jeszcze po kogoś – dodał w myśli) i znów będą razem. Już na zawsze!...

Oparci o mur, po którym hasały nieszkodliwe jaszczurki, spowici jednym burnusem, wsłuchiwali się w echa godów szejkowych, marząc o dniu swojego wesela. Safija wiedziała już teraz, iż rzekomy dżin jest zwyczajnym śmiertelnikiem, Tuaregiem, lecz to zmaterializowanie się „ducha” ucieszyło ją tylko. Woląa stanowczo rzeczy konkretne od mistycznych abstrakcji.

W pewnej chwili Ammi ben Uahaba drgnął: zamienił się w słuch. Zmieniła się radykalnie tonacja odgłosów, których echa ciepły wietrzyk tutaj przyniósł. Miejsce wiwatów i radosnych okrzyków zajęły bezładne wrzaski; ich przewodnim motywem było przerażenie.

Młody Tuareg zerwał się na równe nogi. Po omacku dobrnął do kamiennych schodków i zaczął się pięć w górę po nierównych stopniach, zębem czasu mocno poszczerbionych. A Safija za nim, nie chcąc pozostać sama w ciemnościach. I jej wrażliwe nozdrza wcześniej pochwyciły swąd spalenizny.

Ammi ben Uahaba aż się zatoczył na widok łuny.

– Nieszczęście! – jęknął. – Oni pomyślą, że to mój znak. Już pędzą tutaj zapewne. Za wcześniej! O wiele godzin za wcześniej! Allach, Allach, dlaczego sprawiłeś, że właśnie z tej strony się pali? Wszystkich parszywych Arabów pożar tu przywabi, a nasi tu mają uderzyć... Co począć? Co począć?! Allach, oświeć pobożnego sługę, co począć?

Safija nie spuszczała oka z rozpaczającego kochanka, słuchała chciwie i szybko przenikała mroki tajemnicy. Przeczuwając srogie rządy białej żony szejka, godziła się z myślą, że ten młodzieniec ją porwie, zawiezie do swoich i tam poślubi. Ale tutaj kroilo się coś gorszego. Napad na oazę całej bandy Tuaregów! Rabunek! Gwałty! Walka! Rzeź! Safija, choć Metyska, uważała się za Arabkę i po stronie Arabów były jej sympatie we wszystkich konfliktach z Tuaregami czy z białymi.

Nie wiadomo, czy Allach się ulitował, czy „pobożny sługa” sam ruszył konceptem, dość, że młody Tuareg runął jak burza ku schodom.

– Ammi! Co ty chcesz?...

– Co chcę? – wrzasnął, zapominając o wszelkiej ostrożności. – Chcę, żeby te przeklęte psy arabskie pośpieszyły tłumnie na drugi koniec oazy. I zmuszę ich do tego, choćbym miał spalić całą wioskę!

– Nie uczynisz tego! – krzyknęła, zastępując mu drogę odważnie. – To są moi bracia i siostry. Zabraniam ci!

– Ty?! – Zuchwałość tej kobiety, więc niewolnicy w pojęciu wyznawcy proroka, wprawiła wzburzonego junaka w osłupienie. – Ty?!

– Tak, ja! Uprzedzę swoich o napadzie i...

– Allach! – krzyknął. Jakie szczęście, że mi przypomniała! Byłbym ją tu pozostawił nie związaną!

Uskoczyła w bok, ale złapał ją za rękę i wciągnął jednym szarpnięciem ze szczytowego tarasu baszty do ciemnej klatki schodowej. Nawet mimo rozpaczliwego oporu nie ciążyła mu wcale; czymże było to brzemie dla takiego osiłka. Lecz nagle jego rozpędzona stopa trafiła w próżnię. Stopnia brakowało w tym miejscu i młody olbrzym, jak podcięte drzewo, runął w ciemną czeluść. A z nim piękna, płomiennowłosa Safija...

ROZDZIAŁ IV

Pożar wywołany przez nieostrożność, a stłumiony w ciągu pół godziny, nie wyrządził wiele szkody. Spaliła się tylko sterta siana, stos opałowego drewna i, nad mniejszym dziedzińcem „pałacu” szejka, daszek z liści palmowych; on właśnie zajął się pierwszy od czyjejś pochodni.

Skończyło się więc na przestradze, ale sam wypadek wstrząsnął do głębi zabobonnymi Arabami. Pożar podczas wesela, to już zły prognostyk; a tu, co gorsza, stanął w płomieniach właśnie dom weselny! Cóż może wyniknąć z małżeństwa zawartego pod tak złą wróżbą? Zaiste tylko nieszczęścia! Na przykład – śmierć szejka! Lub wyschnięcie któregoś z większych źródeł w oazie! Albo zgoła pomór na bydło!!!

Nawet plotki, nawet miodowe ciastka smażone na oliwie nie smakowały już przynębionym niewiastom, które tyle sobie obiecywały po dzisiejszym święcie. Nawet tajemnicze zniknięcie Safiji nie rozwiązało im obrotnych zawsze języków, więc siedziały w posępnym milczeniu, rzucając przez szparę zasłony nieprzyjazne spojrzenia na pannę młodą.

Zwłaszcza żony szejkowe nie mogły tak łatwo strawić wyróżnienia, jakie tuż przed wybuchem pożaru spotkało tę nowicjuszkę.

– To jest moja najmilsza małżonka, a wasza pani, której słuchać wam przykazuję! – oświadczył głośno Ibrahim el Ghazi.

Coś podobnego wygłaszał na każdym swoim weselu, więc siedem razy dotychczas. Ale żadnej z poprzednich małżonek nie ofiarował tak wspaniałych kosztowności jak ósmej żonie, białoskórej rumiji; zwłaszcza brylant w staroświeckim pierścieniu, zsuwającym się wciąż z wąskiego palca „niewiernej”, błyszczał wręcz irytująco. I to było właśnie owo niczym nieusprawiedliwione wyróżnienie, które zawołanym damom zepsuło dobry humor jeszcze przed pożarem. A pożar dobił je zupełnie.

Szejkowi rychło zaciążył cmentarny nastrój. Skinął na Husseina, ponurego dziś tak jak noc przed burzą na oceanie.

– Bacz, synu, aby moi mili goście nadal bawili się dobrze – rzekł z jawnym szyderstwem. – My pójdziemy odpocząć...

– Odpocząć, aha! – mruknął wąsaty synalek, ścigając nienawistnym wzrokiem szczupłą sylwetkę „niewiernej”, kroczącej, ze zwieszoną głową, przy boku sędziwego szejka. – Musi być stara, szpetna i chytra – przypuszczał bezpodstawnie, gdyż nigdy dotychczas nie widział swojej „najmłodszej macochy” bez zasłony na twarzy i kierował się wyłącznie zwykłym u Arabów uprzedzeniem do Europejczyków. – A ojciec chyba zgłupiał na starość, żeby sobie brać taką żonę...

Zapalczywy Hussein byłby zmienił zdanie o swoim ojcu i byłby osłupiał z podziwu, gdyby się teraz znalazł jakimś cudem w sypialnej komnacie szejków el Ghazi, gdzie „niewierna” właśnie zdejmowała zasłonę.

– Jakże piękna jesteś! – zawołał Ibrahim, patrząc z zachwytem na szczupłą twarzyczkę swej ósmej żony. – I jaka smutna, niestety – westchnął. Chciał ją ująć pod brodę, ale dziewczyna zmierzyła go takim wzrokiem, że cofnął dłoń co prędzej. – Spozierasz na mnie tak, jak gdybym ci krzywdę jaką wyrządził...

– A co, nie wyrządził mi pan krzywdy?! – zaperzyła się gwałtownie. – Nie porwał mnie pan i nie poślubił wbrew mojej woli?

– Kupiłem cię! – sprostował z naciskiem. – Kupiłem, nie porwałem cię bynajmniej. Szejk Ibrahim bel Ghazi nie jest rozbójnikiem, moja mała! – Mówił po francusku biegle, lubując się wyraźnie, jak zresztą każdy Arab, w spółgłoskach gardłowych... – Hania, Hania. Jakże jesteś niesprawiedliwa! – użalił się i odrzucił poły białego burnusa, aby móc swobodniej gestykulować rękami. – Wiesz przecież, jak było... Ujrzałem cię po raz pierwszy w „Dzielnicy rozkoszy”, w Casablance, w domu publicznym, do którego tego samego dnia odstawił cię twój prześladowca, twój kat rumi!

Z całą satysfakcją podkreślił, że tym katem był „niewierny”, a nie wyznawca proroka, który nigdy nie podniesie ręki na kobietę. Oczywiście, na obcą; na żonę, owszem. Nie tylko rękę, kij także...

– Przeszkodziłem w tym, by cię powtórnie skatowano. I kupiłem cię... nie wymawiam ci tego wcale... za bardzo drogie pieniądze; jak obliczyłem później, za tę sumę można by u nas nabyć ze 20 żon. Ale nie przepłaciłem, bowiem spodobałaś mi się od razu, jak żadna inna!... A teraz, Hania, słuchaj uważnie!... Czekał cię najgorszy los, jaki może spotkać kobietę obojętnie jakiej rasy. Nic by cię nie uchroniło przed upadkiem na samo dno pohańbienia ludzkiego. Nic i nikt.

– Śmierć! – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Byłabym się pchnęła nożem!

– Nie dopuściliby do tego, bądź pewna. W plugawych celach tych nieszczęsnych dziewcząt nie ma żadnego przedmiotu, który w ich dłoniach mógłby się przeobrazić w niebezpieczną broń... Ani talerza nie ma, chyba blaszany... ani szklanki... A co dopiero nóż!

– To prawda – mruknęła – ja też szukałam wtedy...

– A widzisz!... Lecz wracam do naszych spraw... Kupiłem cię. Mogłem cię posiadać już w oazie Arba-el Tleta. Mogłem cię uczynić swoją niewolnicą, a potem darować cię komu zechcę... Zamiast tego podniosłem cię do godności swojej małżonki. Poślubiłem cię i jesteś od dzisiaj legalną żoną szejka Ibrahima el Ghazi!

Umilkł na dłuższą chwilę, uważając widocznie zdanie za kulminacyjny punkt przemówienia. Ona zaś badała w myśli skrupulatnie każde jego słowo, szukając jakiejś sprzeczności lub kłamstwa, aby móc w dalszym ciągu bronić swojej sprawy...

– To wszystko prawda – odezwała się wreszcie – ale pan zapomina, szejku, że ja nie jestem Arabką! Nas, białych kobiet, nie wolno więzić czy kupować jak towar...

– A tym, którzy cię uprowadzili z twojej dalekiej ojczyzny, wolno było to uczynić? – rzekł z ironią.

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie. – To byli zbrodniarze! Postąpili wbrew prawu!

– Słusznie. Oni postąpili wbrew waszym prawom, ja zaś postępuję zawsze według naszych praw.

Mogła była odrzec na to, że te arabskie prawa odnoszą się tylko do tubylców, a do niej nie mają żadnego zastosowania... Nie odrzekła ani słowa. Zrozumiała prawdopodobnie, że wszelkie słowne argumenty są bezużyteczne wobec fizycznej przemocy. Że nie ma dla niej żadnego ratunku, choć dzisiaj rano łudziła się jeszcze.

Dzisiejszego ranka targnęła się na życie, lecz wyrwano jej broń w porę. Ta nieudana próba wyczerpała ją tak dalece, że nie myślała już o obronie, o walce, i fala głuchej rezygnacji zalewała ją z wolna; ostatnim ciosem była ceremonia ślubna.

– Według praw tutejszych jestem jego legalną małżonką. – Zdawała sobie z tego sprawę i oswajała się z tą myślą, choć serce rwało się do innego. Do czupurnego junaka, który pozostał w Paryżu.

Wzdrygnęła się nagle.

Tuż nad uchem zaskrzeczał jej starczy głos, zmieniony od żądy i niecierpliwości:

– Zrzucić szaty, maleńka!

ROZDZIAŁ V

Głośnie sapanie dobiegało z sypialni, chociaż drzwi były zamknięte. Potem zabrzmiał głos drgający najdziwnszą wściekłością:

– Wsadzę ci to, uparta cholero, żebyś nawet miała pęknąć na dwoje!...

Nadsluchujący mężczyzna zrobił zgorzloną minę, ale ciekawość przemogła.

Podszedł do drzwi na palcach, schylił się, zajrzał przez dziurkę od klucza i... ryknął ogromnym śmiechem.

– A niechże cię kule biją! – rzekł rozweselony, wkraczając do swojej sypialni. Na dywaniku klęczał mały człowieczek, zajęty pakowaniem walizki i klnący, na czym świat stoi.

– Zamiast się śmiać, jak głupi do sera, mógłbyś przyjacielowi dopomóc – warknął na widok przybyłego. – Znarowiła mi się bestia i ani rusz nie mogę jej domknąć. Pomóżże, tyko chmielowa!

Wspólnymi siłami poskromili „znarowiony” kuferek. Potem zabrali się do pakowania drugiej walizy, uprzyjemniając sobie tę robotę pogawędką.

– Czy tylko nam pieniędzy wystarczy? – obawiał się wysoki, chudy mężczyzna, obdarzony przed chwilą epitetem „tyki chmielowej”. – Bo liczy, Rafałku: podróż z Warszawy do Palermo i z powrotem, plus miesięczny pobyt na Sycylii, plus to i owo... a na to wszystko mamy na nas obojgu 2 tysiące złotych. Czy nie za mało troszeczkę?

– Gdybyś jechał sam, to wystarczyłoby ci najwyżej do Wiednia i tam byś utknął. Tak, Balciu. Na swoje szczęście jednak odbędziesz ten pierwszy w życiu spacer zagraniczny w

towarzystwie podróżnika, który zjeżdżał całą Europę tak, jak stary karawaniarz ulicę koło cmentarza. Frycowego już płacić nie będziesz.

– Hum, tak, hum... A czy ty naprawdę gładko paplesz po włosku?

– Także pytanie! – oburzył się Rafał Królik i zaśpiewał „po włosku”, z lekka fałszując melodię: – „In gabinetto de cabaretto, pitto szampitro sine monetto... grando scandalle, da policija, in criminalle, Santa-ta Lucija!”... Nnno? Jak znajdujesz akcent? – zapytał, oczekując zasłużonych pochwał.

Nie doczekał się ich, bowiem w tej chwili zapukano do drzwi i wszedł służący.

– Jakiś pan przyszedł – zameldował. – Ważna sprawa, mówi.

– A Karol oczywiście powiedział, żeśmy już wyjechali! – rzekł Rafał z naciskiem. – Tak, jak Karola uczyłem całe rano!

– Przecież panowie jeszcze nie wyjechali! Dopiero jutro... No więc wprowadziłem tego pana do saloniku.

– Giń, tumanie! – wrzasnął mały detektyw i rzucił w tępego sługę tym, co mu się właśnie nawinięło pod rękę; przypadkowo było to pudełeczko z zapasową sztuczną szczęką Baltazara Szafrana, który zawsze wstydliwie chował te protezy przed skłonnym do złośliwych przycinków przyjacielem...

Wyrzuciwszy za drzwi Karola, odbyli walną naradę i uchwalili jednogłośnie nie przyjmować sprawy, z jaką ten czekający klient tu przybył; choćby była najprostsza, najłatwiejsza, najbardziej zyskowna.

Od blisko dwóch lat nie mieli ani dnia wytchnienia, napracowali się uczciwie, a teraz, gdy wreszcie zdobyli paszporty i uciułali 2000 złotych, to nie po to, by przyjmować jakąś tam głupią sprawę i odkładać wyjazd do Włoch oczekiwany z utęsknieniem od wielu, wielu miesięcy.

– Ty rób, jak chcesz. Ja w każdym razie wyjeżdżam! – oświadczył Rafał kategorycznie. – Wyjeżdżam, bo tak mi lekarz zalecił.

– Tooobie? Mnie zalecił wyjazd. Przecież badał mnie!

– Ale równocześnie spoglądał w moją stronę!...

Szpakowaty pan, wpuszczony do saloniku przez niepojętnego Karola, zauważył od razu niechętnę miny obydwóch detektywów. Westchnął, sposępniał, ale nie zrezygnował z zamiaru proszenia ich o zajęcie się smutną sprawą, z jaką przybył.

Nie zrezygnował nawet wtedy, gdy Szafran zaraz na wstępie rozmowy oświadczył mu, że z powodu wyjazdu z Warszawy, wyjazdu, który nieodwołalnie nastąpi jutro, nie mogą na razie przyjmować żadnych spraw...

– Panowie! – wybuchnął. – Miejcie litość nad nieszczęśliwym ojcem! Jeżeli wy nie odnajdziecie mojej córki, to stracę ją bezpowrotnie! Wy jesteście moją ostatnią nadzieją!

– Ostatnią nadzieją, to znaczy, że gdy policja państwowa nic nie wskórała, zwraca się pan do nas – wtrącił Baltazar Szafran, ale bez cienia złośliwości; ujęło go trochę zaufanie przybyłego.

– Niestety, nic nie wskórała. Ani nasza, ani policja francuska, do której się osobiście zwróciłem o pomoc w Paryżu.

– Ooo! To widzę starsza historia, skoro pan...

– O, nie! – wtrącił skwapliwie tamten.

– Moją córkę wywieziono z Warszawy 26 czerwca, lecz...

– Bagatela! – parsknął Szafran. – To znaczy pół roku temu! – Machnął ręką w taki sposób, jak gdyby chciał powiedzieć: „no, to szkoda tracić czas nawet na gadanie”...

– Niechże mnie pan wysłucha! – zawołał błagalnie klient. – Dużo czasu upłynęło od zniknięcia mojej Hani, to prawda, lecz dzisiaj otrzymałem z Marsylii taką wiadomość. – Z tymi słowy podał detektywowi mocno przybrudzoną pocztówkę z widoczką najruchliwszej ulicy Marsylii, „la Cenebière”; na drugiej stronie było coś napisane.

– Nie widzę bez szkieł – bąknął Szafran i zarumienił się.

Rafał Królik, który władał biegle językiem francuskim, „widział bez szkieł” i przetłumaczył przyjacielowi dosłownie treść kartki:

– „Panie! Nareszcie wpadłem na trop. Hanię wywieziono do Casablanki. Nie mając pieniędzy na przejazd, zaciągnąłem się jako palacz na pokładzie statku, który dziś tam odpływa. Daj Boże, bym odnalazł biedaczkę... Pozdrowienia, Nino Lavata”... Któż to jest ten pan Wata? O, przepraszam, Lavata... Francuski detektyw? – spytał Rafał.

– Nie, proszę pana. Jest to młody Włoch, malarz, który opiekował się Hanią w Paryżu przez kilka dni, zanim jej prześladowcy odnaleźli ją i ponownie uprowadzili.

– Pan się nazywa Mirecki – mruknął Szafran, oglądając adresowaną część widokówki, oczywiście bez szkieł.

– Mojemu przyjacielowi poprawia się wzrok z minuty na minutę – rzekł Rafał skwapliwie, pragnąc zatrzeć wrażenie tej wyraźnej „wsypy”. Lecz doktor Mirecki był nazbyt przygnębiony, aby zauważyć tak drobny lapsus, a korzystając z tego, że kartka młodego Włocha wywołała pewne zainteresowanie, kuł żelazo póki gorące i wzruszającym opisem rozpaczy całej rodziny dokonał tego, że tkliwy Rafał rozczulił się.

– Tak. Mój przyjaciel Szafran zajmie się tą sprawą na pewno – rzekł łzawym głosem. – Ja, niestety, jutro wyjeżdżam.

Szafran kopnął go serdecznie pod stołem, a ucieszony Mirecki wysypał z teczki co prędzej kilkanaście fotografii zaginionej Hani. Oglądali je długo w wymownym milczeniu, aż nagle Rafał Królik zerwał się z krzesła i podniesionym głosem zawołał uroczyście:

– Doktorze! Odnajdę pańską córkę i przywiozę ją panu, przysięgam!... Ale już dzisiaj proszę o jej rękę! Kocham pańską Hanię!!!

ROZDZIAŁ VI

Tym razem milczenie trwało znacznie dłużej, aż w końcu położył mu kres Baltazar Szafran.

– Mój przyjaciel miewa niekiedy takie zamroczenia poczytalności – rzekł do doktora Mireckiego, napełniając równocześnie szklanę wodą.

– Napij się, Rafałku, to ci przejdzie...

Rafał zasztyletował go wzrokiem, ale stracił na chwilę cały rozpęd.

– Mam wrażenie, że wyrwałem się, jak Filip z konopi – myślał z niezadowoleniem. – Ten pocziwy eskulap gotów mnie wziąć za łagodnego wariata. Nie ma innej rady, tylko trzeba podtrzymać swoją ofertę matrymonialną – postanowił w duchu, a jedno dyskretne spojrzenie na podobiznę prześlicznej dziewczyny utwierdziło go naprawdę w tym zamiarze.

– Szanowny panie doktorze! – zaczął szybko, wytrzymując spokojnie przenikliwy wzrok lekarza. – Moja propozycja zaskoczyła pana trochę, być może. Wątpi pan zapewne w głębokość i stałość uczucia, które zrodziło się tak nagle. A jednak jest to prawdziwa miłość, najgorętsza od czasów Romea i Julii, którzy... te... zaraz, co rzec chciałem?

Smagnięty szyderczym spojrzeniem Szafrana, zgubił wątek myśli i po kilku rozpaczliwych chrząknięciach przystąpił do zreasumowania swej niefortunnej przemowy.

– Kocham pannę Hanię, choć jeszcze nie znam jej osobiście i proszę o jej rękę, doktorze.

Skłoniwszy się, usiadł Rafał, skromnie spuścił oczy, a nogi podciągnął pod krzesło, aby je zabezpieczyć przed „rozmową” z długimi nogami Baltazara, którego mina nie wróżyła nic dobrego.

Odpowiedź Mireckiego była utrzymana w bardzo łagodnym tonie.

Nie tylko dlatego, że ten sympatyczny młody człowiek musiał mieć klepki trochę nie w porządku. Mireckiemu chodziło przede wszystkim o Hanię i już choćby z tej przyczyny nie chciał sobie zrażać pomocnika wielkiego Szafrana.

Rafał Królik miał ustaloną markę szczęściarza; tam, gdzie policja była zupełnie bezsilna, gdzie nawet Szafran nie umiał rozwiązać zawilej zagadki przestępstwa, tam roztrzępany Rafał osiągał zdumiewające wyniki przez swoje najbardziej nielogiczne pomysły. Czyż więc nie należało ująć sobie tego narwanego wybrańca losu?

Przeprowadziwszy takie rozumowanie, Mirecki odpowiedział Rafałowi uprzejmie, że on nie ma nic przeciwko temu, aby Hania (skoro się odnajdzie) poślubiła tak porządnego człowieka. Ale nie może jej nikogo narzucać na męża, niechaj ona sama zadecyduje o wyborze, o swym małżeństwie. Poza tym, on osobiście pozwala sobie uważać te roztrząsania za nieaktualne tak długo, dopóki Hania szczęśliwie nie wróci do Warszawy.

– Wróci dokładnie za dwa tygodnie – oświadczył Rafał, notując coś w kalendarzyku kieszonkowym. – A zatem drogi Balciu – zwrócił się do milczącego kolegi – zamiast do Palermo, wyjedziemy jutro do Casablanki.

– Z czym, miły idioto? Z tymi dwoma tysiącami?

– Ach, jeśli o to chodzi? – wtrącił szybko doktor Mirecki i wyjął portfel – to najchętniej służę większą zaliczką, którą potem strącimy z honorarium, jakie pozwoliłem sobie przeznaczyć na ten cel.

Lecz Baltazar Szafran nazbyt się już przywiązał do swojej zamierzonej marszruty, aby móc tak łatwo zamienić cudną Italię na mało interesującą, nowoczesną Casablankę. I słodkie wakacje gdzieś w Taorminie na ciężką pracę w terenie zupełnie obcym.

– Nie rozumiem – zaczął z kwaśną miną – dlaczego pan chce się narażać na bardzo znaczne wydatki właśnie teraz, kiedy ów Nino Lavata wpadł na trop pańskiej córki i jest w Casablance.

– Właśnie teraz pomoc panów jest najpotrzebniejsza. Właśnie teraz – twierdził Mirecki. – Daj Boże, by Nino jak najprędzej odszukał Hanię. Ale na to, by ją wyrwać ze szponów tych zbrodniarzy, by jej strzec jak oka w głowie i odwieźć z dalekiego Maroka do Polski... na to trzeba kogoś rozważniejszego niż sympatyczny Nino, który już w Paryżu okazał się bardzo lekkomyślnym opiekunem swojej dziewczyny. Bo gdy mu opowiedziała swoje straszne przeżycia, nie wpadł nawet na pomysł, aby zawiadomić polski konsulat o odnalezieniu poszukiwanej. Gdy ją porwano ponownie, szukał jej sam w tej olbrzymiej dżungli, jaką jest Paryż, i stracił przeszło dobę czasu, zamiast natychmiast zaalarmować policję... Oto dlaczego nie mogę liczyć na Nina i serdecznie proszę panów o pomoc...

– Zrobione! – huknął Rafał. – Jutro przed południem walę do konsulatu francuskiego po wizę i wyjeżdżam do Casablanki. A mój przyjaciel może sobie solo wojażować po Włoszech, skoro tak woli...

– Dziękuję panu... Wolałbym co prawda, aby panowie wyjechali obydwaj po Hanię, ale skoro pan mówi, że...

– Wcale nie mówiłem – zaproponował Baltazar Szafran, który nigdy nie wyjeżdżał za granicę, nie władał biegle żadnym obcym językiem i aż ścierpł na myśl, że musiałby jechać do Włoch bez towarzystwa obieżyświata Rafała.

– Wcale nie mówiłem i... cóż robić... jestem gotów jechać także do Casablanki.

– Ostatecznie mogę cię zabrać – rzekł Rafał protekcyjnie.

Doktor Mirecki wyjął z portfela 6 sztuk nowiusieńkich banknotów 500-złotowych.

– Wystarczy na razie? – spytał. – Proszę się nie krępować. Wszystko strącimy z honorarium, jakie...

– Wiem, wiem – przerwał mu Rafał... – A ile wynosi honorarium, które pan doktor przeznaczył za odszukanie porwanej córeczki? Pytam, rzecz prosta, tylko tak sobie... z ciekawości.

– Dwadzieścia tysięcy złotych.

Tym razem Rafał kopnął przyjaźnie Baltazara, a potem zaczęli się żegnać, odkładając spisanie wszelkich potrzebnych szczegółów do jutra. Rafał był w szampańskim humorze.

– Uściskajmy się, drogi teściu – zaproponował Mireckiemu, który odparł z uśmiechem:

– Z przyjemnością, ale pańskim teściem nie będę nigdy, niestety, gdyż mam tylko synów.

– Jak to?! A panna Hania?!

– Jest moją bratanicą... Wprowadziłem panów w błąd, przyznaję się ze skruchą. Musiałem. Przyjęliście mnie tutaj z tak niechętnymi minami, że musiałem uciec się do małego kłamstwa, aby was łatwiej wzruszyć. Bądź co bądź córkę mojego zmarłego brata kocham tak samo, jak własne dzieci.

– Dał pan tego dowody – wyszeptał Rafał, patrząc zapewne przez roztargnienie na wachlarzyk z 6 ponętnych banknotów. Rozczulił się tak bardzo, że z jego ust wyrwał się patetyczny okrzyk: – Gdzież jesteś teraz piękna dziewczeczko?! Czy przypuszczasz, jak wielka jest ojcowska miłość twego stryja?! I jej dowody?!

A Hania Mirecka przeżywała w tej chwili może najtragiczniejszy moment swego życia...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI